ROZMAITOŚCI.

Dnia 4. Kwietnia. № 14. Roku 1855.

POWIEŚCIARZ ZNAD WYBRZEŻA DEGLI SCHIAVONI

czyli

Jak się Wenecyanie bawią.

(Dalszy ciąg. Ob. N. 12. 13. Rozmaitości).

Ledwośmy weszli, uderzyły nas kłęby woni z zasieków i z krzewów. Dziwne i niewidziane kwiaty, jak może tylko u wielkiego Mogoła albo gdzieś na Libanie, zaczęły się na łodygach wyginać, zdawało się że chcą nas witać, tak się koronką swoją do nas miliły. Barwne, prześliczne ptaszęta wzlatywały z gałązki na gałąź, świgotały, śpiewały, krzyczały prawie ludzkim głosem jak grono szczebiotliwych dziewcząt, gdzie tylko sam głos słychać a słów nierozróżnić. Gdzieś znowu kot morski zawinął ogon o gałąź, kołysał się w powietrzu szczyrząc zęby na nas, potem niby spłoszony kopnął się w gąszcz i zniknął. W tém z alei na boku wyszedł purpurowy bocian, z powagą jak marszałek albo burgrabia, wykręcił kilka razy szyją i tędy i tędy, co znaczyło że nam uszanowanie składa, zaszedł nam drogę i idąc przodem oglądał się czy za nim postępujemy. Obok na prawo i lewo inne cuda sztuki. Tu posąg woziwody puszcza strumienie w marmurową czarę, a z ubocza bazaltowy chłopczyna chwyta wody po kropelce; tam bałwan pogański rybim ogonem wypluskiwał źródło płynące z muszli, że się w powietrze rozpraszało i robiło tęczą przecudną w same rubiny i dyamenty; zza gajów w dali przebijały się świątynie bluszczem okryte, przy nich ciemne, ciemne laski i sadzawki, dość że zdawało się iż to o nich Smeralda śpiewała, kiedy mój Patron odpowiedział że znajdzie rozwiązanie.

Stanęliśmy nagle przed ogromném drzewem, nie widziałem coś podobnego, liście szerokie śklniące, a kwiat w kształcie dzwonków ułyskujących się srebrem, obścielał je od spodu do góry. W cieniu rozległym tego drzewa wyścielone stały najkosztowniejsze perskie kobierce, na nich pąsowe, perłami przerabiane poduszki; i tu spoczywała nasza piękna poganka. Uśmiechnęła się do nas, i rączką powitała mojego pana. U wezgłowia stał ten sam murzynek, i przywiewał chłodku wachlarzem. Ale bocian który nas tu zaprowadził, rozkra-

czył nogi, dziób wsadził w ziemię, wzniósł skrzydła po obu bokach do góry, i zrobił z siebie krzesło z poręczami. Na znak księżniczki pan Orazio zasiadł na tym dziwacznym stołku.

Teraz donna Smeralda kazała pachołkowi podać lutnię. Z początku odtętniały tylko cichutko szemrzące tony jakby płynęły po trawkach, potem wzbiły się w dźwięk coraz pełniejszy i donośniejszy, a liść na czarodziejskiém drzewie pod którém ta wróżka siedziała, zaczął się wstrząsać, i główki tulipanowe do miary jak szła melodya zlekka przechwiewać. Ale im dźwięczniéj się ton zpod struny złotéj rozniecał, tem szumniéj chwiało się liście i kwiaty na prądach. W tém spada z gałązki srebrzysty kwiatek jeden, w spadaniu rozwija listki, i unosi się ptaszeczkiem białym jak lilia w powietrze, krąży w około drzewa; po nim wkrótce i drugi i trzeci zrywa się tulipan i także przeistacza w spadaniu; niebawem całe drzewo jak śniegiem otrząsł, z każdego kwiatuszka wyglądnął swawolny, szczebiotny ptaszek, a powietrze od piórek ich zajaśniało w szmaragdy, rubiny, topazy. Gdy się tak wszystko za dźwiękiem strun przeistoczyło, dopiéro nasza wróżka przydaje do lutni głosu i spiewać zaczęła; natychmiast jedna ptaszyna zlatuje na darń, strzepuje skrzydełkami, wypręża się i rośnie, widocznie rośnie, srebrzyste piórka zamieniają się w barwistą sukienkę, a ptaszyna przebóstwia się w dzieweczkę. Nie minęła i chwila, wszystkie ptaszęta pozlatywały, i poprzeistaczały się w rzeszę lubych dziewcząteк. Opasały kołem panię swoją, i towarzyszyły jéj chórem do śpiewu; aż pani przestała, dziewczęta rozpięły koło i poznikały jak senna mara w krzaki i w kłąby.

Pan Orazio w osłupieniu nie odrywał oczu z pięknéj Smeraldy; ja stałem za jego trzynóżkiem jak wryty; w tém występuje naszéj pani murzyński pacholik z puharem złotym, a rytym bardzo misternie, i podał panu memu wina czerwonego, Refosko doskonałe poznałem, pieniło się mocno. Signore! mówię po cichu, nie pij, to piekielna zaprawa! w tém czuję jak i do mnie zaskoczyła z tyłu luba, milutka wróżeczka, i podaje mi taki sam puhar.

W piérwszém uniesieniu chciałem to miłe diablątko odtrącić i wylać trójło czarodziejskie, ale wino tak zapachło korzennie, zpod białéj pianki kolorek tak cudownie zajaśniał, coż było robić? oczka tego wróżbiątka tak błagały, takie były lube i czułe; jeszcze mię ramionkami tak ujęła serdecznie — ach moje dzieci! duch wprawdzie mocny, coż kiedy ciało mdłe; dla tego czuwajcie nad sobą i módlcie się, ażebyście nie popadli w pokusę. A popadniecie kiedyś pewnie, nim dorośniecie.

Tylko raz jeden liznąć, pomyślałem w duszy, tylko języczek pomaczać, to głowy z karku nie zerwie; przecież wiedzieć się godzi, z którego roku wino w czartowskiéj piwnicy? I liznąłem, łyknąłem, wciągnąłem i wycedziłem cały puhar aż do dna. Dopiéro opadłem moją kusicielkę; jeszcze tyle widziałem, że mój Pan padł na kolana przed piękną Smeraldą, i że czerwony bocian wycią-

gnął dziób z ziemi, skrzydła złożył, i i z powagą odszedł; ja moje palące usta przytulił do małéj wróżeczki i głupieć zacząłem — gdy na to murzynek wypada z krzaków bez ducha, i woła: ratujcie się, ratujcie! wszystko straconém. Porporinazzo nasz pan najmiłościwszy zbliża się, i wścieka ze złości.

Ach przestroga już była nie w porę, ledwo wyrzekł, już się i toczy mała, okrągła poczwara jak jakie olbrzymie jabłko purpurowe, i posunęła się cichaczem przed Smeraldę i jéj wielbiciela. Już-to przypatrzywszy się można było na téj ohydzie rozpoznać trochę członków ludzkich, ale zmyślnéj potrzeba było imaginacyi, ażeby z tych kres i punktów przy czubku dorozumiéć się warg, oczu i nosa.

Taka-to wdzięczność, jaszczurko, za daną wiarę? zagdakał Porporinazzo do Smeraldy przerażonéj ze strachu, aż pobladła. Taka-to nagroda za moją miłość? Gzisz się z tym giaurem niewiernym, a mnie wzdychać każesz, mnie marszałkowi Sułtana z Taprobany? I co jeszcze widzę? Moje drzewo tulipanowe bez dzwonków — mój cały Seraj rozleciał się na cztery wiatry! O! to woła o pomstę, krwawą pomstę. Héj, służba!

Sześciu Murzynów wypadło z gołymi mieczami, a czartowskie mieli twarze, rzucili się na Messer Orazia i na mnie, i pokrępowali nam ręce powrozami. Na próżno wywoływał Pan Memmo, że jako Nobile wenecki jest nietykalnym, na próżno groził gniewem doży, senatu, i że żądać będzie odwetu za pogwałcenie praw swoich i niesłychanéj obelgi. — Żądaj! wolno ci, odbąknął marszałek z Taprobany, i kiwnął niby-to ręką, miecze błysnęły, a nasze głowy spadły na ziemię.

Moje wróżbiątko nie dosiadując dawno umknęło w krzaki, zaś Signora Smeralda uciekła się do mdłości i spazmów; a Porporinazzo, dumny z swojego czynu, powlókł się z katami do dworu. Ja widziałem wszystko bo głowa mi spadła na trawę do góry nosem; kilkakroć ręce moje zrywały się, ażeby pochwycić głowę i osadzić na karku, skrępowane, kilka razy obmacywały koło siebie, ale na ślepo, bo oczy były opodal przy głowie. Opisać trudno, co się zemną działo, nikt tego nie pojmie chyba by mu także głowa odleciała na cztery piędzie. Ten tylko kto się w życiu swoim raz upił, ale upił porządnie co się nazywa, ten by tylko mógł troszkę pojąć, ale bardzo mało, mój stan w jakim ja byłem.

Marszałek ledwo odwrócił się, a Smeralda podniosła głowę, zaczęła płakać, ręce załamywać i włosy targać. Zaraz wyściubiła główkę i moja lubeczka, ale mądra niecha pociechy i płacze, tylko nalega na panią, ażeby i chwili nie tracąc śpiesznéj szukała pomocy. Na miłość boską Pani, tylko głowy nie tracić! poszlij po doktora i to doskonałego, póki jeszcze krew ciepła. Pięć minut a będzie późno. Bertolinetto w Padwie cuda dokazuje, on i postrzelony łeb wykuruje. Ale prędko, prędko!

Jak-żeż go mieć tak zaraz?

Poszlij Don Flaminga kuryerem do Padwy, mówi przebiegła służebna, na jego zręczność i gorliwość możemy się spuścić.

Szczęśliwa myśl, moja Libello, odpowiedziała księżniczka, zawołaj Dona.

Klasnęła mała trzy razy w dłoń, a bocian czerwony przyczłapał śpiesznie, naciągnął szyję, ona mu coś szepnęła do ucha, on kłapnął dziobem, rozpostarł skrzydła i znikł w powietrzu.

Okropna nastała cisza, dwie panie z trwogi dychać nie śmiały, my dwaj nie mogli, bo płuc nie było, i to trwało tak może jedno Zdrowa-ś Marya, tyle co jajo zgotować na miękko, aż nasz bocian zaszumiał z powrotem, niosł w dziobie doktora Bertolinetta i posadził na trawie człeczka małego, ale ubranego czyściutko, chociaż mu trochę się tchy zaparły.

Uczony doktor ledwo spojźrzał, już wiedział o co chodzi; zaraz pochwycił za puls, widzi że jeszcze cokolwiek bije, wyciągnął z kieszeni sławny proszek Perlimpimpino, nieśmiertelny swój wynalazek, zatoczył rękawy, zrzędził coś przytém że go porwali z prelekcyi, właśnie kiedy prawił o pathogonii, capitolo III, gniewał się że mu wiatr rozczochrał perukę, porwał potem moją głowę za nos, posypał perlimpimpinu po karku, przyłożył łeb do miary, nacisnął kułakiem, zaraz pochwycił i głowę pana Orazia, i to samo z nią zrobił. Kichnęliśmy obydwa trzy razy raz po raz, podskoczyli żwawo, wstrzęśli się, jeszcze kichnęli raz jeden — i kuracya skończona.

Z uniesieniem rzucają się damy w nasze objęcia, na moją twarz wyciska usta swoje piękna Smeralda, Libella chwyciła się patrycyusza — ale ledwo pocałowały, wyrywają się, odskakują i wykrzykują jedna i druga. Okropne nieszczęście! Doktor w pośpiechu, schybił i wsadził moją głowę na ciało Orazia, zaś głowę patrycyusza na tułów biednego barkarola. Dziewczęta w piérwszém zachwycenia zwiedły się sukniami. Potrętwieliśmy wszyscy.

(Dokończenie nastąpi).

MANFRED.

Tragedya w 5 aktach wierszem

przez

Xawerego Godebskiego.

(Dalszy ciąg. Ob. N. 1. 2. 3. 7. 8. 9. 10. 11. 12. 13. Rozmaitości).

Scena 4.

Noema. Manfred *(wchodzi).*

Noema.

To on....

(do Manfreda).

Zbrodnię popełniam wzrok wznosząc ku tobie,
Ale wszystko jest zbrodnią, co tylko dziś robię—
A przecież ocaleniem twém tylko zajęta
Myśl ma nieszczęsna na nic więcéj nie pamięta. —
Śpiesz się — jeszcze czas — wszystkich ujął sen (głęboki —
Uciekaj, póki mogę kierować twe kroki:
Uciekaj, jeźli pamięć o mnie jest ci droga, —
Dałby był Bóg, ażeby nigdy twoja noga

Nie postała w tych murach — śpiesz się — już (wieść głucha
Rozniosła się po zamku..... Czy słyszysz?... Nie (słucha —
I pocóż przyszedłeś? — Jakie twe zamiary?
O! znam cię.... znów coś knujesz — zbrodni na- (łóg stary....
Czego chcesz?

Manfred *(ponuro).*

Nie zgadujesz?

(po chwili milczenia — wpatrując się w nią bystro).

I cóżeś odgadła?

Noema.

I ty mię o to badasz? Ponure widziadła
Myśl mi twoją zaćmiły, lecz to co z niéj łyska,
Mrozem śmiertelnéj trwogi serce mi zaciska,
Czego chcesz? Mów wyraźniéj.....

Manfred.

Czy milczenie moje
Nie dosyć jest wymowne?

Noema.

Zrozumieć się boję....
Co znaczą tajemnicze słów twoich osłony?
Czego chcesz — czego szuka wzrok twój zao- (gniony?

Manfred *(pokazując sztylet).*

Czego?.... On ci to powie — Posłuż mi do końca —
Prowadź mię — gdzie jest Rodryk? Piérwszy (promień słońca
Żyjących nas tu obu znaleść już nie może.—

Noema.

O! zgrozo! Daj mi siłę, miłosierny Boże!

(rzuca się na Manfreda, i pasuje się z nim, usiłując wydrzeć sztylet).

Oddaj mi to żelazo — porzuć zamiar dziki —
Opierasz się daremnie — głośne moje krzyki
Rozbudzą wszystkich, zmarłych zbudziłyby (w grobie,
Żeby ocalić męża — mów, co zechcesz zrobię,
Ale go nie zabijaj — zabijesz wprzód żonę.

Manfred *(odpychając Noemę).*

Idź! rozbudź sługi twoje — wrzaski twe szalone
Zdradzając mię, roztrąbią własną twą ohydę —
Niech będzie jawną wszystkim. — Żywy ztąd (nie wyjdę. —
Czemuż nie krzyczysz? — Wściekłość moja cię (wyzywa —
Niechaj się mąż twój dowie...

Noema.

Zemsta sprawiedliwa —
Uzbroi jego rękę i w krwi mojéj zmyje
Hańbę....

Manfred.

Nie łudź się próżno. — On cię nie zabije:
Przeklnie cię przebaczając. — Martwe jego oko
Nie takby serce twoje przeszyło głęboko,
Jak wejźrzenie litością tchnące i pieszczone
Którém obdarzyć raczy wiarołomną żonę;
I nie takby okropnie przeraził twe ucho,
Jęk z krwawéj piersi jego wydobyty głucho,
Jak modlitwa ust jego, zgryzotą przewlekła,
Którąby chciał wyzebrać duszę twą u piekła.—

Noema *(z rozpaczą).*

Żyć nie mogę.... chcę umrzeć....!

Manfred.

A żyć musisz przecie,
Śród pamiątek twéj winy wpogardliwym świecie,
W którym ci wszystko hańbę wyrzuci na oczy,
W którym matka ze zgrozą imię twe przytoczy
Ostrzegając swe córki. — A gachów rozpusta
Przepuści je z szyderstwem przez skalane usta.
Gdzie stąpisz, gdzie się zwrócisz, niezmienną (koleją
Wzgardzą tobą cnotliwi, nieczni cię wyśmieją.—
Chceszli przeżyć tę hańbę i znieść te katusze?

Noema.

Precz! precz! zniosę to wszystko — wiem że (cierpieć muszę,
Precz! jeźli wszelkie uczucie w tobie nie wyga- (sło:
Precz! bo z piersi mych wyjdzie śmierci twojéj (hasło.

Manfred.

Posłuchaj mię!

Noema.

Nie dopniesz piekielnego celu:
Ustąp — słuchać cię niechcę — ustąp kusicielu!

Manfred.

Masz syna!....

(Noema staje osłupiała).

Idź go ująć w splugawione ręce:
Oswój z publiczną wzgardą lata niemowlęce.—

Biedny chłopcze, rzucony w żądz hydnych od-
(męty!
Lituje się nad tobą wróg Ojca zawzięty;
A w matce téj litość obudzić nie zdoła....
Wyszydzony, wygnany z rówienników koła,
Próżno z życia imienia ofiarę uczyni;
Próżno wstyd swój i rozpacz zagrzebie w pustyni,
Wszędzie mu głos natrętny wołać nie przestanie:
„Matki to twojéj winy, a ty cierpisz za nie!“

Noema.

Nędzna jestem — któż do téj nędzy mię spro-
(wadził?
Kto w mém sercu uczucie powinności zgładził...?
A przecież do nóg twoich rzucam się ze łzami—
Manfredzie! daj się wzruszyć — zlituj się nad
(nami!
Nędzna jestem, ty jednak — z gniewem i odrazą
Odepchnąć mię nie możesz...

Manfred.

Zmiękcz-że to żelazo,
Które w dłoni zaciskam —

Noema *(ciągle klęcząc).*

Czemuś mię zbił z drogi
Powinności i cnoty, których urok błogi
Goił z wolna przez ciebie zadane mi rany?...

Manfred *(wpatrując się w nią ponuro).*

Najpiękniejszy śród kwiatów, czemuż niezbła-
(gany
Los cię z umysłu rzucił na ciernistéj drodze,
Po któréj z zemstą moją szalony przechodzę
I ciebie zdeptać muszę.....?

Noema.

O! nie — mój Manfredzie,
Serce twoje ufności mojéj nie zawiedzie:
W błyszczącym złudzeń naszych młodzieńczych
(uroku,
Więcéj łez niż radości widziałeś w mém oku;
I głos mojéj boleści zbyt często cię wzruszył,
Iżby go szatan zemsty w sercu twém zagłuszył....
Manfredzie, mój kochanku, zbawco, przyjacielu!
Bądź szlachetnym jak niegdyś.... przed laty nie
(wielu....
O litość..... już o litość tylko błagam ciebie.....

(Wpatruje się w niego czas niejaki z niespokojną ciekawością, a nie upatrzywszy w rysach jego najmniejszego uczucia litości, zrywa się z dumném i gniewném uniesieniem).

O! na Boga i wszystkich świętych pańskich
(w niebie!
Mąż mój żyć będzie....!

Manfred *(z zimną dzikością).*

Umrze. — Na potęgi i piekła
Przysięgam: umrzeć musi.... nie zajadłość wście-
(kła
Gniewliwego popędu uzbraja dłoń moją:
Dawno te krwawe myśli w duszy się méj roją;
Dawno śmierć jego wczesném pojąc mnie we-
(selem,
Jedną była nadzieją, jednym była celem
Długich lat nędzy mojéj..... O! bez téj nadziei
Która na sen znużone powieki mi klei,
Pokarm przynosi ciału i umacnia siły,
Dawno by na rozdrożach kości me pogniły;
Ale godzina zemsty raz przecie dobija:
Nie cofnie jéj potęga ni ręka niczyja —
Zemsta nieubłagana cudów się nie lęka
Święci wysoko....!

Noema *(z mocném postanowieniem).*

Ludzka wystarczy nam ręka
(postępując ku drzwiom z krzykiem).
Do mnie! do mnie! kto żyje!

Manfred.

Próżno zrywasz piersi:
Oddalili się wasi obrońcy najszczersi:
Bractwo krzyżowe wyszło odmawiać swe modły
W świętokrzyskim klasztorze — a dworskich
(gmin podły
Choćby was też chciał bronić, ocalić nie może.—
I moje też już bractwo wyostrzyło noże:
Rzeknę słowo, a wszystkie w piersiach mu uto-
(ną...

Noema *(z przestrachem).*

Stój okrutny!.... Okropność!.... Stój!.... Jestem
(zgubioną!...
Serce krwią mi nabiega.... drżą podemną nogi.....
(Chwieje się i pada na ziemię, zasłaniając twarz rękoma).

Manfred *(z dzikiém szyderstwem).*

Próżno się trwożysz — nie sądź, abym łup tak
(drogi

Wydał w zbójeckie dłonie.—Postąpię szlachetnie:
Wątek dni tak dostojnych dłoń zacniejsza prze-
(tnie. —
Jażbym zemstę krzywd moich zdał na ręce
(czyje.....!
Rodryk do mnie należy — ja go sam zabiję
Tak tajemnie, tak cicho, że ślad nie zostanie —
Jak po odejściu węża — nic — prócz żądła w ra-
(nie.....

(Odgłos rogu).

To hasło synów nocy....

(nachyla się ku Noemie).

Czy słyszysz? — To oni!
Ale mąż twój nie zginie od zbójeckiéj dłoni.

(odchodzi).

Scena 5.

Noema i Klotylda.

Noema *(powraca zwolna do zmysłów — rzuca wzrok obłąkany do koła siebie, i wstając powtarza ostatnie słowa Manfreda).*

Mówił: mąż twój nie zginie..... kto wyrzekł te
(słowa?....
Jestem tu sama.... cichość wokoło grobowa.....
To był sen!.... sen okropny...., piekielne widziadło
Zagroziło mię tylko i w ziemię zapadło....
On tu nie był — być nie mógł — nieśmiem tu
(pozostać.....
Strach mię bierze..... grożąca wrócić może po-
(stać.....

(wołając).

Klotyldo!..... Ach! gdzież ona? Jakie znoszę mę-
(ki!....

Klotylda *(wchodzi z pośpiechem).*

Tyż-to mię wołasz Pani....? Posłyszałam jęki
I biegłam co tchu wsparcie przynosząc nie-
(zwłoczne. —

Noema.

Przystąp bliżéj — na twojém ramieniu niech
(spocznę —
Niech się drżąca do ludzkiéj istoty przycisnę —
Może prędzéj ustąpią mary nienawisne,
Które mię w samotności tak srodze trapiły
Okropnością nad wyraz — męczarnią nad siły....
Ale już wszystko przeszło.... myśléć zaprzestanę..

Klotylda.

Cóż się tu stało? Zkąd te trwogi niespodziane?

Noema.

Samo wspomnienie tego strasznego zjawiska
Krew mi w żyłach zamraża, dech w piersiach
(naciska.

Klotylda *(rozmyślając).*

Śmiałżeby wrócić.... Przebóg! — Zgaduję rzecz
(całą,
On pewnie.... śród ciemności oko me dojźrzało,
Jakby postać Manfreda.....

Noema.

Co żeś to wyrzekła?
Więc to nie była mara — nie złudzenie piekła....?
Widziałaś go, powiadasz?... Na zbawienie duszy,
Nie powtórz, bo mi żarem rozpacz mózg wysuszy.
Biada nam jeźli przyszedł — zkądże mu ta siła?
Niestety! Zbrodnia moja silnym go zrobiła.....
Krwi pragnie.... niech sam zginie!.... nie waham
(się, idę,
I u stóp męża całą wyjawię ohydę:
Choćby miał nogą zdeptać korzące się skronie.....
Skażoném mojém ciałem Rodryka zasłonię:
Ostatnim krzykiem wszystkich żyjących rozbu-
(dzę....
Sama na własną hańbę zwrócę oczy cudze!
O! nie zdołam... Spiesz — biegnij — masz otwar-
(tą drogę —
Wyznaj mu.... czego sama wyznać mu nie mogę.

Klotylda *(z przestrachem).*

Przebacz — ale twój rozkaz jest nad moje siły —
Gdyby mię spotkał — cożby me krzyki zrobiły?
Krużganki długie, ciemne — oddalone straże —
Za wszystkie skarby świata, wyjść się nie od-
(ważę. —

Noema.

Klotyldo, zbaw nas wszystkich — nie wzbraniaj
(się dłużéj:
Wdzięczność nasza stokrotnie łaskę tę odsłuży.
Na dawną przyjaźń naszą, na twych ojców w gro-
(bie
Daj się ubłagać! Życiem wypłacę się tobie.—
Zabierz światło — idź śpiesznie — Bóg cię we-
(sprzeć raczy —
Idź — jeźli niechcesz, abym skonała z rozpaczy.

(Klotyda bierze światło i ociągając się wychodzi).

Noema *(sama).*

Odeszła — będzież śmiała wyznać? — Czy po-
(słucha?
Gdyby się opóźniła......

(zbliżając się do drzwi i nasłuchuje).

Wszędzie cichość głucha.....
W téj chwili hańba moja mężowi jest znaną:
Winy nieszczęsnéj matki na dziecku zostaną.....
Nie wraca — może zdradza — niepewność mną
(miota —
Dałaż się uwieść groźbą, czy ponętą złota?
Komuż ufać?.... Któż zdrady śmiało niedokona,
Jeźli go zdradzić mogła własna jego żona?
Ah! to go wiarołomstwo najboleśniéj zrani!....—
Nigdyż nie wróci.... Przecie!....

Klotylda *(wbiegając).*

Uspokój się Pani
Wszystko dobrze się składa...

Noema.

Co mowisz? — kończ prędzéj,
Zkąd ten połysk nadziei zabłysnął méj nędzy—
Wszystko się dobrze składa? mówisz — nie-
(śmiem wierzyć...

Klotylda.

Odgłos rogu zapewne musiał cię uderzyć? —

Noema.

Jakżem go słyszéć mogła, gdy coraz natrętniéj,
Straszna greźba tamtego w duszy mojéj tętni.—

Klotylda.

Z tym odgłosem nadbiegła wieść szczęsna i chyża:
Rycerstwo zgromadzone u Świętego krzyża,
Chorągwie swe w kościele uroczyście składa;
A Opat dostojnego zaprosił sąsiada,
Aby swą obecnością zaszczycił obrzędy. —
Hrabia przyjął do serca te pobożne względy
I mimo późnéj pory i nocnéj pomroki,
Z nielicznym hufcem dworskich wyruszył bez
(zwłoki,
Niechcąc do reszty naszéj osłabiać załogi. —
Niewątpliwie być musi już w połowie drogi.

Noema.

Dzięki Ci Wielki Boże! Twoja to opieka
Odwraca naszą zgubę..... może tylko zwleka.....
(do wchodzącego Giermka).
Czego chcesz? — Zkąd przybywasz?

Giermek.

Przybywam od Pana.

Noema.

Gdzież Hrabia?

Giermek.

Podróż nasza została przerwana:
Wody z gór tak gwałtownie zbiegły i wezbrały,
Że pod samém Opactwem ów strumyczek mały
Stał się istotną rzeką. — Żal tylko zachodu:
Ni wpław przebyć można, ni wynaleźć brodu. —
Pan widząc że chęć próżna i daremna praca,
Wyprawił mię do Zamku uprzedzić, że wraca.—

Noema *(z uniesieniem).*

Kłamiesz — Wracać nie myśli — śniłeś wód wez-
(branie —
Czego stoisz? — Masz konia — pędź co mu tchu
(stanie,
Jakby od każdéj chwili dni twoje zawisły—
Wstrzymaj — ostrzeż — co mówię? — Czekaj!....
(tracę zmysły....

Klotylda.

Chłopiec mógł rzecz przesadzić—ufać nie należy,

Noema.

Idź — przekonaj się sama — Wyjdź na ganek
(wieży....
(Klotylda wychodzi).
Wody opaść musiały — Czas się wypogadza —
Nie wróci....
(do Giermka).
Na co czekasz?
(Giermek odchodzi).
Wszystko mię dziś zdradza.—
Śmiała w zbrodni, bezsilną zostałam w rozpaczy:
Czemuż mi sił przed zbrodnią nie zabrakło ra-
(czéj...!

Klotylda *(wchodząc).*

Noc jasna, czas pogodny i cichość głęboka,
Słuchałam pilnie, nicem nie spuściła z oka;
Nic przecież nie ostrzegło, iżby tu wracali,
Ani tętent kopyta ani połysk stali. —

Noema.

O tak! niebo raczyło wejżrzeć nań łaskawe:
Nie powróci — cóż myślisz?

Klotylda.

Myślę, że przeprawę
Musieli mu ułatwić rybacy pobliscy.
(Odgłos rogu).

Noema *(przerażona).*

Słyszysz?.... Powraca — Zginął! — Zginęliśmy
(wszyscy!...
Przebóg! i na cóż czekam, aż zapadnie brama —
Nie dowierzam nikomu, zatrzymam go sama. —
(Biegnie do drzwi, otwiéra je gwałtownie: Zbójcy z pochodniami i z nożami zastępują jéj w progu — z rozpaczą).
Ah zapoźno! — Litości mój Boże!...
(po chwili namysłu)
Przecież i to są ludzie — przepuszczą mię może—

Klotylda *(zatrzymując ją).*

Gdzież cię rozpacz prowadzi?

Noema *(wydzierając się).*

Rozpacz ich poruszy.
(Bieży ku drzwiom — Zbójcy wzbraniają jéj przystępu — Noema odskakuje przerażona).
Daremnie!... Nic ludzkiego ni w twarzy, ni w du-
(szy:
Piekło ich wyzionęło.... Nic nas nie ochroni.

Klotylda.

Nic prócz męztwa Rodryka.

Głosy za Sceną:

Do broni! do broni!
(Zbójcy znikają — Słychać szczęk mieczów pomieszany z krzykami walczących — Łuna pożaru oświéca scenę. Wrzawa wojenna wzmaga się ciągle.)

Klotylda.

Zbójcy odbiegli, los nasz rozstrzygnąć żelazem.

Noema *(porywając ją za rękę i ciągnąc za sobą).*

Chodź! jeźli mamy umrzeć, umierajmy razem.

Zasłona spada.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** — *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*